

STEFAN OBRĘBSKI

PAMIĘCI MOJEGO OJCA

Dziękuję Państwu za zaproszenie do udziału w sesji poświęconej działalności naukowej mojego Ojca. Niestety, z powodu innych zobowiązań nie mogę być obecny na tym spotkaniu. Wojna i trudności okresu powojennego spowodowały, że Ojciec mój nie cieszył się za życia takim uznaniem, na jakie zasługiwał. Izolowany od polskiego środowiska naukowego i tradycji intelektualnej, mierząc się z wieloma trudnościami, odważnie przyjął wyzwanie, przed jakim stanął w Ameryce. Uhonorowanie pamięci mojego Ojca, jakie przedsięwzięli Państwo w tym roku, skłoniło mnie do głębszej refleksji nad wartościami i postawami życiowymi, które mu zawdzięczam. Jestem przekonany, że Ojciec bardzo by się cieszył z uznania, jakim darzą Państwo jego pracę. Ja również jestem serdecznie wdzięczny za możliwość uhonorowania go wspólnie z Wami.

Moje wspomnienia o Ojcu są wspomnieniami dziecka i młodego człowieka. Chciałbym dołączyć je do historii Ojca, z zastrzeżeniem, że dziecko w bardzo ograniczonym stopniu rozumie, kim są jego rodzice. Ta powszechna prawda w naszym przypadku dała się odczuć szczególnie silnie, ponieważ nie tylko przez znaczną część życia moich Rodziców byłem za młody, by w pełni uczestniczyć w ich życiu intelektualnym, lecz także Rodzice ochraniali mnie przed niebezpieczeństwami wojny, a później przed niepewnością, jaka wiązała się z naszym życiem emigrantów w Ameryce.

Zacznę od swojego najwcześniejszego wspomnienia związanego z Ojcem. Urodziłem się w 1938 roku. Podczas wojny Rodzice ulokowali mnie razem

.....
steobre@sfsu.edu

z Dziadkiem w niewielkiej wsi Mładz nad Świdrem, 40 kilometrów od Warszawy. Pewnego razu, kiedy Rodzice przyjechali w odwiedziny, Ojciec zabrał mnie nad Świder na ryby. Ponieważ nie miał wędki, zapytałem go, jak będzie je łowił. „Zobaczysz” – powiedział. Rzeka miała przy brzegu około metra głębokości. Ojciec wszedł do wody i zaczął łowić rękami pomiędzy korzeniami drzew rosnących na brzegu. W ciągu pięciu minut złapał trzy duże ryby. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie.

Historie, jakie opowiadał mi Ojciec o swojej pracy terenowej, były tak dobierane, by mogły zainteresować dziecko. Opowiadał mi na przykład, że kiedy mieszkał w macedońskiej wsi, zaopiekował się młodym wilczkiem, którego matkę wraz z całą resztą miotu zabili tamtejsi wieśniacy. Wilczka trudno było oswoić. Spał z Ojcem w łóżku, ale trzeba go było bić butem po nosie, żeby nie gryzł pod kocem w palce nóg. Wyjeżdżając, Ojciec zostawił wilka u tamtejszego rzeźnika jako psa obronnego – taki był zły. Kiedy moi koledzy chwalili się sportowymi czy innymi męskimi wyczynami swoich ojców, te dwie historie zawsze robiły na nich duże wrażenie. „Mój Ojciec łowi ryby gołymi rękami i oswaja wilki – mówiłem. – A twój?”

Chyba najbardziej znaczące z moich przeżyć z Ojcem miało miejsce tuż po naszym przyjeździe do Ameryki – na kilka dni przed moimi dziesiątymi urodzinami. Zatrzymaliśmy się w Nowym Jorku, w hotelu na Manhattanie. Byłem bardzo podekscytowany, bo spodziewałem się w prezencie jakiejś wspaniałej amerykańskiej zabawki. Zapytałem więc Ojca, co mi da na urodziny. On wziął mnie za rękę, zaprowadził do okna, z którego był widok na rzekę Hudson, wskazał tam ruchem ręki i powiedział: „Daję ci Amerykę”. Tę scenę zapamiętałem na zawsze. Dopiero później, kiedy w 1987 roku odwiedziłem Polskę i zobaczyłem na własne oczy, jak ciężko się wtedy tutaj żyło, zrozumiałem w pełni, jaką wagę miał ten ojcowski dar o tyle łatwiejszego i przewidywalnego życia.

Ojciec miał wyrafinowane poczucie humoru. Kiedy byłem mały i pytałem go, gdzie idzie, mówił: „Przed siebie”. Zawsze warto było iść razem z nim „przed siebie”, bo przy tych okazjach kupował mi czekoladę. Czasami, kiedy uczyłem się w swoim pokoju, przychodził i mówił: „Ucz się, ucz, będziesz sędzią, profesorem, idiotą!”. I obaj się śmialiśmy. To był jego sposób wyrażania aprobaty.

Kiedy wszedłem w okres dojrzewania, zacząłem zdawać sobie sprawę, że Ojciec był dużej klasy intelektualistą; coraz bardziej imponował mi swoim doświadczeniem świata, do którego ja nie mogłem mieć dostępu. Bardzo silnie oddziaływały na mnie te momenty, kiedy przyjeżdżali do nas przyjaciele z Polski, z którymi Rodzice wspominali przy wódce dzieje wojennych przeżyć. Hipnotyzowało mnie to i przerażało jednocześnie. Matka przypominała mi kiedyś, że w okresach napiętej sytuacji międzynarodowej miałem zwyczaj pytać Ojca, czy wybuchnie wojna światowa i on zawsze mi wyjaśniał, jaka jest sytuacja i dlaczego wojny nie będzie. Zachęcał mnie też, żebym czytał poważne gazety i czasopisma; weszło mi to w zwyczaj w dość młodym wieku. Odwiedziny polskich przyjaciół często łączyły się z deklamowaniem poezji; Ojciec lubił pisać i recytować wiersze. Bardzo mi to imponowało i zacząłem uświadamiać sobie, że ten człowiek – mój Ojciec – miał także inne aspekty osobowości niż te, dzięki którym łowił ryby gołymi rękami i oswajał wilki.

Przejąłem niektóre z jego zwyczajów kulinarnych. Ojciec co jakiś czas kupował dużą kość szpikową, piłował ją wzdłuż na połowę, związywał sznurkiem i gotował w wodzie przyprawionej marynatą, cebulą i czosnkiem. Zjadał potem szpik na razowym chlebie. Lubiał także lekko podsmażony befsztyk z chrzanem. Naturalnie, kiedy już byłem starszy, dołączałem do niego w tych rytuałach, którym zawsze towarzyszyła

odrobina wódki i miła pogawędka. Podtrzymuję te zwyczaje po dziś dzień, chociaż nie jest łatwo zainteresować naszych amerykańskich przyjaciół szpikiem czy surowym chrzanem.

Moje najbardziej pamiętne przeżycie związane z dojrzewaniem pod przewodnictwem Ojca miało miejsce, kiedy pewnego razu poprosił mnie do kuchni i kazał zjeść dużą kromkę razowego chleba z wędzonym boczkiem i wypić trzy łyżki stołowe oliwy. Ponieważ byłem posłusznym synem, zrobiłem to. Kiedy zapytałem, dlaczego muszę to jeść, powiedział, że chce mnie nauczyć, jak się pije wódkę z Rosjanami. I kazał mi wypić duży kieliszek wódki (około 150 mililitrów!). Miałem wtedy 18 lat i byłem studentem Uniwersytetu Columbia. Nie lubiłem jednak mocnych trunków; piłem najwyżej trochę piwa albo wina. Ale Ojciec kazał mi to wypić. Godzinę później, kiedy uczyłem się w swoim pokoju, wszedł i oznajmił: „Widzisz, nie jesteś pijany. Właśnie tak pije się wódkę z Rosjanami”. A ja naprawdę w ogóle nie odczułem efektów tego kieliszka! Wziąłem sobie tę lekcję do serca. Ojciec wytłumaczył mi, że Amerykanie lubią pić alkohol, nic przy tym nie jedząc i co więcej, mieszają wódkę z wodą gazowaną; dlatego upijają się bardzo szybko. Jak się zje coś tłustego albo wypije oliwę, łatwiej zachować trzeźwość. Powiedziałem mu później, że kiedy opowiadam tę historię Amerykanom, zwykle bardzo się dziwią – więc wyjaśniam im, że to taki polski obrzęd wejścia w dorosłość, coś w rodzaju żydowskiej bar micwy. Bardzo go to rozbawiło i stwierdził, że mógłbym zostać, może nie wiarygodnym, ale za to pomysłowym antropologiem. Jeden z moich żydowskich przyjaciół, któremu opowiedziałem tę historię, zaprosił mnie na seder, ale martwił się, że pewnie nie będzie mi smakował chrzan. Mogłem go zapewnić, że i w rytuale jedzenia chrzanu też już uczestniczyłem z moim Ojcem.

Ojciec wpływał na rozwój moich zainteresowań w bardzo roztropny i zarazem sprytny sposób. Kiedy tylko chciałem kupić jakąś książkę dotyczącą biologii albo jakiś przyrząd, na przykład mikroskop, mówił: „Dobrze. Ile pieniędzy ci potrzeba?”. I dawał tyle, ile chciałem. Dzięki jego wspaniałomyślności mogłem studiować różne gałęzie biologii, których nie wykładano na uniwersytecie, a także nauczyć się, jak z głębokim zaangażowaniem rozwijać swoje zainteresowania intelektualne. Przydało mi się to bardzo w późniejszej pracy. Jego zwyczaje związane z pracą również były dla mnie inspirowane. Ojciec, kiedy nad czymś intensywnie pracował, potrafił nie kłaść się przez kilka nocy z rządu. Chyba był zbyt wielkim perfekcjonistą. Kiedy go pytałem, dlaczego to czy tamto zabiera mu tak dużo czasu, mówił po prostu, że nie jest zadowolony z trzeciej czy czwartej wersji i musi jeszcze raz wszystko przepisać. Doskonale mówił po angielsku, ale być może pisać w tym języku było mu trudniej, niż sądziłem. Ja byłem za leniwy, żeby zostać takim perfekcjonistą jak on. Ale to on mi pokazał, jak ważne jest zagłębienie się w pracę intelektualną i od niego nauczyłem się czerpać z niej przyjemność. Ojciec nigdy nie miał pretensji, kiedy dostawałem słabe stopnie z przedmiotów, na których mi nie zależało, pod warunkiem, że zgłębiałem coś innego. To jego wpływ na mnie sprawił, że zatrudniono mnie na uniwersytecie jako asystenta, jeszcze zanim otrzymałem licencjat; profesorowie wysoko oceniali moją wiedzę z biologii. Kiedy dostałem tę posadę, Ojciec zaprosił mnie na obiad do dobrej restauracji.

Ojciec miał zwyczaj, którego ja, dorastając w mało formalnej kulturze amerykańskiej, sobie nie przyswoiłem: bardzo lubił angielskie ubrania i zawsze był elegancki. Nie pochwalał mojego sposobu ubierania się, ale nie mógł dawać mi swoich ubrań – byłem niższy od niego. Kiedyś jednak musiałem kupić garnitur. Ojciec, bardzo zadowolony, zadzwonił do swojego krawca i poprosił go, żeby przygotował dla mnie najlepsze ubra-

nie. Kupiłem drogi garnitur i Ojciec był tak uradowany, że zwrócił mi ten wydatek, oświadczając, iż nareszcie zostałem kulturalnym człowiekiem, a to zasługuje na nagrodę.

Rodzice stworzyli w domu europejski salon intelektualny. Nie należało to do amerykańskiej tradycji, ale dla nich sprawą dużej wagi było kultywowanie życia kulturalnego, w jakim uczestniczyliby w Polsce, gdyby nie emigracja. Często przyjmowali gości. Były wśród nich zarówno znane osoby z Polski, jak i młodzi emigranci, rozpoczynający życie w nowym kraju. Rodzice bez żalu akceptowali zmiany w rutynie dnia codziennego, jakie wprowadzała obecność gości. Poza tym stale pracowali, chcąc utrzymać ciągłość swojego życia intelektualnego. Myślę, że stanowili dobry przykład dla innych, znajdujących się w podobnej sytuacji: podtrzymywali związki rodzinne, przyjaźnie i kontakty intelektualne w Polsce najlepiej, jak umieli. Udało im się urządzić dom, pomimo skromnych dochodów, z artystycznym smakiem. Kupowali meble na aukcjach antykwarycznych. Na honorowym miejscu nad kominkiem wisiał obraz namalowany przez wdowę po Bronisławie Malinowskim.

Ojciec i Matka mieli egalitarne nastawienie do świata. Kiedy mieszkaliśmy w małej miejscowości na Jamajce, pozwalali mi bawić się z tamtejszymi dziećmi. To było coś, czego inni biali nigdy by w kolonialnym kraju nie zrobili. Nasz dom w Ameryce odwiedzany był przez ludzi wszystkich ras, religii, narodowości i opcji politycznych. Ojciec był rozmówcą doskonale zorientowanym i pełnym wdzięku; pamiętam tylko jeden raz, kiedy stracił panowanie nad sobą. Ktoś z gości dowodził, że Stalin był dużo gorszy niż Hitler, i Ojciec nie mógł zrozumieć, jak można usprawiedliwiać takiego zbrodniarza i tyrana. Nasza późniejsza długa rozmowa na ten temat miała zasadniczy wpływ na moją humanistyczną postawę życiową. Ta demokratyczna i humanistyczna perspektywa, którą zawdzięczam Rodzicom, wyposażała mnie w bogatą gamę doświadczeń, które przeniknęły moje poglądy polityczne i społeczne – coś, co nie było dostępne wielu moim amerykańskim kolegom. Także małżeństwo Rodziców – ich bliska i serdeczna więź – było dla mnie wzorem do naśladowania. Pragnąłem mieć podobny związek i szczęśliwie udaje się nam z moją żoną Paulą cieszyć się nim już od 40 lat.

Życie przyniosło mojemu Ojcu wiele przykrości. Jedną z nich było to, że nie mógł ukończyć i opublikować swoich prac antropologicznych. Po śmierci Ojca Matka z wielkim poświęceniem podjęła starania o to, by jego praca nie została zapomniana. Jednak przedwczesna śmierć także jej uniemożliwiła doprowadzenie tego dzieła do końca.

Pragnę raz jeszcze serdecznie Państwu podziękować w imieniu moich nieżyjących Rodziców. Jestem bardzo wdzięczny za zaszczytne zaproszenie, które skierowali Państwo do mnie jako syna Józefa Obrębskiego. Gorąco dziękuję wszystkim, którzy interesują się jego dziełem: mój Ojciec będzie najlepiej znany tym, którzy poznają jego prace i docenią jego dokonania – i to oni będą jego prawdziwymi spadkobiercami.

Tłumaczyła z angielskiego
ANNA ENGELKING